

„Po morzu burza hula i wieje, wieje wiatr”, z nadbrzeżnej knajpki echo niesie słowa żeglarskiej ballady. Wczoraj, pełna nadziei na odnalezienie Tyrmandowskich śladów w nadmorskim Darłowie, wysiadłam z pociągu na dworcu kolejowym. Wpóływa po długiej podróży, tak jak Beata Tyszkiewicz, podążałam chodnikiem wzdłuż ulicy Bogusława X. Niestety, obok mnie nie kroczył superamant polskiego kina, Andrzej Łapicki. No cóż, może to nie ten rejs? Ale kółka walizki klekotały tak samo, jak stary drewniany wózek.

Ni stąd, ni zowąd zza zakola ulicy wyłoniła się ławeczka, a na niej przysiadł nie kto inny, tylko sam mistrz Leopold Tyrmand. Nie omieszkałam przysiąść na chwilę. Solidna konstrukcja, nie chybotąca się. Spojrzałam w stronę autora powieści „Złego” i „Siedmiu dalekich rejsów”, fakt, okulary miał nietuzinkowe.

Moja ośmioipółkilogramowa walizka zaczęła mi trochę ciążyć, a do miejscowego zamku było jeszcze paręset metrów. W końcu i tam dotarłam. Ożeż ty, na co dzień znajduje się tu muzeum, a ja oczekiwałam pensjonatu z nutką historii w tle. Ale tak było naprawdę, zdaje się, że jeszcze wczoraj.

Życzliwi ludzie skierowali mnie do hotelu „Apollo”. Dojechałam. Poczułam rześki powiew wiatru. Nagle, jakby znikąd, pojawiła się przede mną para wybitnych aktorów polskiego kina. Czyżby to miraż? Nie, to rzeźba upamiętniająca sceny filmowe z 1963 roku. Trafiłam we właściwe miejsce.

Dzisiaj leżę na plaży i oddaję się błahemu nicnierobieniu. Wieczorem, choć zapowiadają opady mżawki, chyżo pospaceruję wzdłuż kanału portowego, w poprzek przejdę most, by zjeść kolację w smaźalni ryb, tej która powstała na miejscu kawiarni „Siedem dalekich rejsów”. Wyobrażę sobie, że barman szczerze rozlewa piwo, a pisarz Nowak dogaduje szczegóły wiązanej transakcji z szyprem. Będę zastanawiać się, dlaczego Ewa tak nagle wyjechała. Dlaczego zaniechanie haniebnego czynu nie przekonało jej do zakochanego po uszy pisarza? A przecież mogli corocznie obchodzić walentynki w Darłowie.